

## „CHOĆ JUŻ ŻYCIA, PSIAMAĆ, POPOŁUDNIE, JEST CUDNIE, JEST CUDNIE”<sup>1)</sup>

### ROZMOWA Z MARIĄ PIKUL PRZEPROWADZONA JESIENIĄ 2020 ROKU

**Wanda Szaszkiwicz:** Piszemy w tym numerze o rozwoju psychoterapii, na który miało wpływ nasze pismo, i pragniemy zaprezentować osoby, które nadawały mu kształt. W jubileuszowym zeszytce „Psychoterapii” nie mogła nie znaleźć się sylwetka osoby najdłużej, bo przeszło 20 lat, pełniącej rolę sekretarza redakcji, czyli Twoja.

W ubiegłym ćwierćwieczu sekretarzem redakcji byli: Magdalena Nieniewska, Jacek Bomba, Bogusława Pawelec. Bywał nim również Kazimierz Bierzyński, który mi powiedział, że pełnił wszystkie funkcje w redakcji — od gońca do redaktora naczelnego. Nawiasem mówiąc, Kazimierz pełnił tę funkcję najdłużej ze wszystkich naczelnych redaktorów, bo blisko 22 lata. Czyli jesteście w redakcji długo. Osobą, która jest najdłużej ze wszystkich, jest profesor Jacek Bomba, który w roku 1995 zaprosił Cię do pracy w redakcji. Ale zanim porozmawiamy o tej pracy, zacznijmy od Twojego pojawienia się w Klinice Psychiatrii. Jak się tam znalazłaś?

**Maria Pikul:** Po studiach psychologicznych w Krakowie w 1981 roku wyjechałam na roczne stypendium Pax Christi do Wiednia, gdzie miałam staż w Centrum Interwencji Kryzysowej. W Austrii zastał mnie stan wojenny. Wiele osób, bojąc się, że granice zostaną na długo zamknięte, wróciło wtedy do Polski, ja zdecydowałam się zostać. Lubię kończyć to, co zaczęłam, więc pewnie dlatego podjęłam decyzję odbycia stażu do końca. Gdy jesienią 1982 roku wracałam do Krakowa, musiałam szybko podjąć pracę, choćby po to, aby dostać kartki żywnościowe. Znałam dobrze język niemiecki, niezłe też angielski. Gdy dowiedziałam się, że w Klinice Psychiatrii jest miejsce dla sekretarki w gabinecie psychiatrii sądowej, zgłosiłam się tam, tak na początek, żeby się w klinice „zahaczyć”. Zostałam przyjęta na etat statystyka medycznego. Moim szefem był prof. Zdzisław Ryn. Praca polegała głównie na pisaniu pod dyktando opinii sądowo-psychiatrycznych i trzymaniu porządku w dokumentacji. Opinie te najczęściej dyktował mi dr Roman Leśniak, wobec czego najbardziej czułam się jego sekretarką. W Gabinetach Psychiatrii Sądowej oprócz niego badania prowadzili i wydawali opinie prof. Józef Krzysztof Gierowski, prof. Zdzisław Ryn, prof. Janusz Heitzman, czasem jeszcze prof. Adam Szymusik. Opinie dotyczyły przeważnie zabójstw i, jak mówił dr Roman Leśniak, „seksótek”, czyli ciężkich przestępstw seksualnych. Atmosfera w zespole i możliwość kontaktu z wybitnymi psychiatrami wynagradzały mi koszmarne treści, które wystukiwałam na klawiaturze, mechanicznej wtedy, maszyny do pisania. Po pewnym czasie zwolnił się etat w bibliotece i profesor Adam Szymusik zaproponował mi go. To był awans: miałam już inne obowiązki, a mianowicie prowadzenie biblioteki klinicznej. Oprócz tego zajmowałam się korespondencją w języ-

<sup>1)</sup> Słowa z piosenki Magdy Umer „Jest cudnie”, śpiewanej przez Marylę Rodowicz

ku angielskim i niemieckim, zamawiałam odbitki prac naukowych, obsługiwałam gości zagranicznych, czyli można powiedzieć, prowadziłam sekretariat naukowy. Wtedy też zaczęły się moje prace redakcyjne. Pamiętam nanoszenie poprawek prof. Adama Szymusika na nowe wydanie *Psychiatrii w procesie karnym* Karola Spetta. Poprawki, które chciał umieścić pan profesor już po napisaniu tekstu, były doklejone na wąziutkich paseczkach do maszynopisu, a do mnie należało odszyfrowywanie ich i wkładanie w tekst nowego wydania. Moim przełożonym był wówczas profesor Jacek Bomba. Klinika, na czas remontu budynku przy Kopernika (od 1980 do 1987 roku), przeniesiona została na ul. Skarbową, do niegdysiejszej bursy księdza Kuznowicza. Większość pomieszczeń — sale dla pacjentów i pokoje administracji — nie spełniało podstawowych standardów. Z dr. Leśniakiem przez jakiś czas pracowaliśmy w pokoju, w którym, na niczym nieprzykrytej wylewce cementowej, stały jedne na drugich metalowe łóżka, załatwione przez dr. Barbarę Monne gdzieś w krajach Beneluxu jako dar dla pacjentów. Siedząc przy biurku usytuowanym pośród tych łóżek, spisywałam na maszynie mechanicznej — oczywiście przez kalkę — opinię za opinią, dyktowane przez dr. Leśniaka. Nie było ogrzewania. On siedział w kożuchu, ja niestety kożucha nie miałam. W pokoju mogło być jakieś 10 stopni, nie więcej. Takie bywały warunki pracy w klinice — w końcu był to czas stanu wojennego.

**W.Sz.:** Musiałaś być bardzo sprawna w tym pisaniu, bo jak wiadomo nie można było poprawiać błędów, jak teraz w komputerze. Byłaś zmuszona pracować w wielkim skupieniu. Rozumiem, że warsztat sekretarski zdobywałaś już wcześniej?

**M.P.:** Tak, podczas studiów zrobiłam kurs bezwzrokowego pisania na maszynie. Zawsze uważałam, że mam mało czytelne pismo, wołałam pisać na maszynie. Piszę szybko, ale z błędami. Wiele lat później, gdy robiłam porządek w mieszkaniu mojego zmarłego dziadka, odkryłam, że on, od czasów przedwojennych, pisał listy na maszynie, również prywatne, osobiste. Używał kalki i zatrzymywał kopie wysyłanych listów. Dzięki temu mogłam po kilkudziesięciu latach przeczytać listy do niego i jego odpowiedzi. Dziadek, Marian Plebańczyk, był bardzo barwną postacią i takie też były jego listy. Czytając je, pomyślałam, że może nam we krwi czy w genach to, że lubię się posługiwać maszyną jako medium.

**W.Sz.:** To zamiłowanie rozciąga się na coraz bardziej nowoczesne urządzenia — myślę tu o komputerach. Byłaś pierwszą znaną mi osobą, która odważnie i równocześnie metodycznie przystąpiła do ich używania, a następnie do nauczania tego wszystkich chętnych w klinice, a także poza nią, bo na przykład mój mąż skorzystał z Twojego kursu. Krzysztof Gierowski opowiadał mi kiedyś, że w ciągu dwudziestu minut — bo więcej czasu nie miał — nauczyłaś go podstaw posługiwania się komputerem. Dysponował już chyba przygotowanymi przez Ciebie zapiskami, do których potem zaglądaliśmy w razie potrzeby.

**M.P.:** W 1990 roku wróciłam do kliniki po rocznym pobycie w Kanadzie. Mieliśmy wtedy kilka komputerów zakupionych lub otrzymanych z darów; jeden z nich dostałam do pokoju. Kto dziś pamięta program Pelikan? Był jednym z pierwszych edytorów tekstu, zdaje się, że nie do końca legalnym spolszczeniem programu Word 3.0. Niedawno znalazłam opracowany przeze mnie dla Was „podręcznik” posługiwania się komputerem. Jego motto, zaczerpnięte z kolekcji praw Murphy’ego, brzmiało: Maszyny powinny pracować, ludzie powinni myśleć. Pamiętam, że jedyną osobą, która pozostała oporna wobec mojego zaproszenia na te „lekcje”, był Piotr Drozdowski. Reszta chętnie korzystała z lekcji, a potem z konsultacji.

**W.Sz.:** Zastanawiałam się kiedyś nad innymi Twoimi umiejętnościami, a mianowicie językowymi, i naprawdę byłam pewna, że oprócz psychologii musiałaś studiować jakąś filologię. I to zarówno dlatego, że świetnie znasz co najmniej dwa języki obce, a także dlatego, że poprawnie, pięknie mówisz i piszesz po polsku — co się bardzo przydaje w pracy w redakcji.

**M.P.:** Nie studiowałam żadnej filologii, natomiast skończyłam liczne kursy językowe. Zdałam egzamin państwowy z niemieckiego, zdobyłam też certyfikat *Proficiency* z angielskiego, znałam dość dobrze francuski, uczyłam się również włoskiego. Nie jestem typem samouka i potrzebuję zewnętrznej siły, która by mnie prowadziła, ale rzeczywiście mam łatwość nauki języków i znajduję przyjemność w czytaniu różnych tekstów w językach obcych, a przede wszystkim w porozumiewaniu się z innymi, także z obcokrajowcami.

**W.Sz.:** Właśnie te predyspozycje oraz wiedza psychologiczna mogłyby być podstawą do podjęcia pracy badawczej na przykład w obszarze psycholingwistyki. Nie myślałaś nigdy o takiej pracy?

**M.P.:** Od razu po studiach wyjechałam za granicę, a kiedy wróciłam, zaczęłam pracować jako sekretarka w klinice. Kiedy zastanawiałam się nad swoją przyszłością i pracą psychologa, powstrzymywało mnie wyobrażenie — mylne — że praca psychologa nie ma końca, w tym sensie, że nigdy nie można powiedzieć „zrobiłam wszystko, co mogłam, skończyłam”, zostawić ją i zająć się czymś innym. A pracę sekretarki można zakończyć o konkretnej godzinie, wyjść z biura i żyć życiem pozaklinicznym. Pięć lat po studiach odbyłam rozmowę z panią dr Elżbietą Leśniak, aby się doradzić w tej sprawie. Zdążyłam napisać chyba dwie opinie psychologiczne dla sądu metropolitalnego w Tarnowie i dwie opinie dla konsulatu amerykańskiego w sprawach rentowych. Poza tym jednak nie miałam żadnej praktyki w zawodzie. Pod wpływem rozmowy z Panią Elżbietą powzięłam decyzję, świadoma, że jest to decyzja ostateczna: nie podejmę pracy psychologa, ponieważ odpowiada mi praca sekretarki, podoba mi się tego rodzaju kontakt z ludźmi oraz realizowanie zadań mających swój początek i koniec. Porządkowanie rzeczywistości po to, by inni mogli wykonać swoją pracę: leczyć, uczyć. Teraz, po latach, gdy już kończę pracę zawodową — która była dla mnie wielką radością — myślę, że dobrze wybrałam. Przed laty widziałam reklamę telefonów: „Nokia — connecting people”. Dla mnie hasło to najzwięźlejsze opisuje pracę sekretarki.

**W.Sz.:** Ale jednak musiałaś być dobrym psychologiem, w pewnym sensie terapeutą, żeby przetrwać w miejscu, w którym niemal codziennie stykałaś się z bardzo obciążającymi ludzkimi problemami. Wiele z nich do Ciebie trafiało, przyjmowałaś je i w ten czy inny sposób pomagałaś w ich rozwiązaniu. A z kolei od strony organizacyjnej wspaniale ogarniałaś sekretariat, zajęcia dydaktyczne, co wiem od Twojego ostatniego szefa profesora Bogdana de Barbaro, który mi powiedział, że on był kierownikiem katedry, a jego kierowniczką byłaś Ty, w sensie dyskretnego czuwania nad wszystkim. Równocześnie jako sekretarka umiałaś zadbać o dobry klimat międzyludzki, pełen głębokiej życzliwości. Sama tego doświadczałam, odwiedzając sekretariat Katedry Psychiatrii w różnych sprawach. Przedostatni Twój szef, profesor Krzysztof Gierowski, wyznał mi kiedyś, że zawsze mógł na Ciebie liczyć w sprawach natury etyczno-moralnej i bardzo sobie cenił możliwość skorzystania z Twojej porady, gdy miał wątpliwości co do jakiejś decyzji jako kierownik katedry. Wiedziałaś, jak postąpić, kierując się uczciwością i przyzwoitością. Jak widać,

robiłaś dla kliniki i dla Katedry Psychiatrii więcej, niż tylko prowadzenie sekretariatu w sensie konkretnej pracy zadaniowej.

**M.P.:** To miło słyszeć. Wiele mam do zawdzięczenia klinice. Może zacznę od anegdoty. Rozmawia pastor, ksiądz katolicki i żyd i zastanawiają się nad tym, kiedy się zaczyna życie. Pastor mówi, że życie zaczyna się w momencie narodzin, zdaniem księdza katolickiego życie zaczyna się w momencie poczęcia, a żyd powiada: żaden z was nie ma racji, życie zaczyna się, jak dzieci pójdą z domu. Zastanawiałam się kiedyś, kiedy się zaczęło moje dorosłe życie. I doszłam do wniosku, że zaczęło się wtedy, gdy przyszłam do pracy w klinice. I właśnie tutaj, dzięki ludziom, których codziennie spotykałam, ich wiedzy, otwartości, akceptacji, zaczęłam odkrywać i doskonalić swoje kompetencje społeczne i zawodowe. Wcześniej (Kraków jest małym miastem) byłam postrzegana w kontekście tragedii mojej rodziny, czyli tragicznej śmierci ojca i rodzeństwa. Nie byłam odbierana jako Maria Ciesielska, tylko „ta Maria Ciesielska”, „ta Marysia”, „ta, która przeżyła”. Gdy przyszłam do kliniki, gdzie moja historia nie była znana, zostałam potraktowana jako osoba odrębna od swojej rodziny — nie ktoś, kto przeżył, i ma w związku z tym różne role do odegrania, przede wszystkim rolę świadka. Z perspektywy czasu widzę, jakie to miało dla mnie znaczenie, i mogę powiedzieć, że to klinika mnie ukształtowała i pomogła mi określić siebie jako osobę: nie na tle rodziny utraconej, ale jako osobny byt.

**W.Sz.:** Właśnie, czyli mogłaś już bardziej samodzielnie zarządzać swoim życiem i chociaż nie szczędziło ci ono dalszych trudów i bólów, mogłaś nim kierować we własny sposób. A dzięki temu, że, jak mówisz, „uzyskałaś siebie”, mogłaś się rozwijać w różnych obszarach. W pracy, chcąc sprostać wymaganiom w stosunku do siebie, własnej ambicji, byłaś, jak wiem solidna, rzetelna, skrupulatna. To samo dotyczy Twojej aktywności w piśmie „Psychoterapia”. Zostałaś zaangażowana przez profesora Jacka Bombę, z którym już wcześniej współpracowałaś jako sekretarka do spraw naukowych.

**M.P.:** Tak, w 1995 roku poszłam na urlop macierzyński i potem na 5 lat zostałam w domu. Pan Profesor zaproponował mi pracę w „Psychoterapii”. Byłam jedyną osobą z zespołu redakcyjnego, która dostawała wynagrodzenie. Bo trzeba wiedzieć, że pozostałe osoby pracują honorowo.

**W.Sz.:** Czyli wreszcie sekretarz redakcji, osoba najbardziej obciążona, otrzymała rekompensatę finansową. Z czasem tej pracy coraz bardziej przybywało i wiem, że dalej przybywa. Ale wracając do momentu, gdy dostałaś propozycję pracy w redakcji: czy bez wahań przystałaś na nią, nie obawiałaś się, czy sobie poradzisz? Czy wiedziałaś coś więcej o piśmie, może czułaś się z nim związana?

**M.P.:** Z pismem nie byłam związana, natomiast z ludźmi — tak. Z profesorem Jackiem Bombą, z Kaziem Bierzyńskim, z pozostałymi pracującymi w redakcji. Wiadomo — znałam wszystkich, bo sekretarka zna wszystkich. Czułam się zaszczycona propozycją pana profesora i ucieszona tym, że będę miała pracę, że nie stracę kontaktu z ludźmi, ze światem pozadomowym w ciągu tych 5 lat opieki nad dziećmi. Propozycja pana profesora trafiła w moje upodobania, to jest w pracę z tekstem oraz porządkowanie różnych materiałów czy korespondencji. Nie pamiętam chwili wahania. Wydawało mi się, że w domu będę miała mnóstwo czasu na pracę redakcyjną, co potem oczywiście nie bardzo się potwierdziło. Gdy dwumiesięczny Jaś spał w łóżeczku obok biurka, przy którym rozpoczęłam pracę redakcyjną, pomyślałam: co to za gadanie, że nie da się nic zrobić przy dziecku!

Ten mój entuzjazm matki pracującej przy niemowlęciu trwał może godzinę i nigdy się już nie powtórzył.

W tamtym czasie było znacznie mniej pracy w redakcji niż teraz. Na samym początku mojej pracy teksty w ogóle nie były adiustowane. Surowy tekst od autora podlegał wewnętrznej recenzji redakcyjnej, był trochę wygładzany stylistycznie i edytorsko i przekazywany do pana Andrzeja Magdonia, znakomitego — żeby nie powiedzieć „przedwojennego” — redaktora technicznego. I to on mniej więcej w czasie, gdy rozpoczęłam pracę w „Psychoterapii”, zasugerował, aby artykuły były adiustowane przez panią Lidę Szpunar, ówczesną adiustatorkę „Psychiatrii Polskiej”, a wcześniej publikacji Ossolineum, wysokiej klasy profesjonalistkę.

**W.Sz.:** Wiem od Ciebie, że była Twoją mistrzynią adiustacji, osobą, od której nauczyłaś się tego, co teraz robisz w redakcji „Psychoterapii”.

**M.P.:** Tak, była moją mistrzynią. Przede wszystkim bardzo uważnie czytała tekst, nanosiła precyzyjne poprawki. Niekiedy zdarzały się różnice zdań pomiędzy nią a profesorem Bombą co do zasadności zmian, które wprowadzała. Wynikały one z puryzmu językowego pani Szpunar. Pan profesor uważał, że trzeba pisać o różnych zagadnieniach w taki sposób, w jaki się o nich mówi. A jak wiadomo język mówiony różni się od języka pisanego i nie zawsze możliwy był kompromis. Wersja profesora najczęściej wygrywała jako bliższa temu, co autor chciał czytelnikom przekazać, dzieląc się z nimi swoim doświadczeniem.

**W.Sz.:** Wydaje mi się, że Tobie jako adiustatorce jest łatwiej niż pani Szpunar ze względu na wiedzę psychologiczną oraz to, że obracasz się w środowisku osób posługujących się językiem psychologii i psychiatrii.

**M.P.:** Pani Lidia Szpunar nanosiła ręcznie poprawki, a ja je wprowadzałam do wersji elektronicznej artykułu, dzięki czemu uczyłam się czytać krytycznie teksty. Równocześnie mogłam nie uwzględnić jakiegś jej poprawki, gdy uważałam, że propozycja jest zbyt sztywna i zmienia myśl autora. Kolejnym krokiem było przesłanie tekstu do autora — mógł on wtedy nie zgodzić się na zmiany. Choć w regulaminie kwartalnika jest powiedziane, że autor musi liczyć się z poprawkami, nie chciałam i nie chcę ingerować w tekst bez jego zgody. Rola adiustatora jest moim zdaniem służebna, wobec autora i wobec tekstu. Jego zadaniem jest ułatwienie czytelnikowi zrozumienia tego, co autor chciał przekazać. Niektórzy piszą doskonale, to znaczy bardzo klarownie, inni nawet mając dużo do powiedzenia, piszą w sposób nie zawsze zrozumiały dla czytelników.

**W. Sz.:** Czy to jest Twoim zdaniem główny kłopot autora: umieć przekazać w sposób zrozumiały to, co chce powiedzieć?

**M.P.:** Autor ma dwie trudności do pokonania. Jedna to przekazanie treści merytorycznie prawdziwych — tu pomocą służą recenzenci. Drugi kłopot dotyczy języka. Który musi być zrozumiały. Rolą adiustatora, czyli moją, jest przeczytanie tekstu z punktu widzenia czytelnika, który ma pierwszy raz do czynienia z danym zagadnieniem. Według mnie „Psychoterapia” jest adresowana nie tylko do profesjonalistów z głęboką wiedzą, ale też do studentów, uczestników kursów psychoterapii, osób, które dopiero poznają opisywane zagadnienie. Natomiast jeśli autor ma bardzo dużo do powiedzenia, często robi skróty myślowe albo zakłada, nie zawsze słusznie, że dany temat jest wszystkim znany. I ja występuję w roli kogoś, kto jest nowicjuszem i chciałby się dowiedzieć z tekstu nie tylko tego, o czym autor pisze, ale też tego, co ma na myśli.

**W.Sz.:** Twojej umiejętności zawdzięczamy zatem klarowność tekstu, jego czytelność. Wiele razy doświadczałam tego i widziałam, jakie to ważne, gdy poprawiałas moje prace, czyli przeprowadzane przeze mnie rozmowy do „Sylwetek”. W tym wypadku mogłam liczyć również na ocenę merytoryczną. Najwyraźniej masz umiejętność analizy tekstu i formułowania trafnego komentarza, przydatnego dla autora.

**M.P.:** Lubię słuchać metafor, którymi posługują się moje koleżanki i koledzy psycholeuropeuci. Kiedy myślałam o naszym wywiadzie, przyszło mi do głowy takie, dość może ckiwe, porównanie. Tekst autora jest jak pęk kwiatów zerwanych na łące. Czasem od razu układają się one w bukiet. A czasem wymagają ułożenia. I to jest zadanie dla adjustratora.

**W.Sz.:** Jeszcze cofnijmy się do czasu, gdy w 2000 roku po urlopie wychowawczym wróciłaś do pracy w klinice i nadal pełniłaś rolę sekretarza redakcji. Wspominaliśmy ostatnio z Kazikiem Bierzyńskim wieczorne zebrania redakcji u Ciebie w domu, na które wpadaliśmy zwykle po pracy, głodni, a tam czekała kolacja, często z winkiem. Byliśmy zżyci ze sobą i lubiliśmy te spotkania. Równocześnie zebranie przebiegało w sposób zdyscyplinowany i sprawny, pod Twoim i redaktora naczelnego kierunkiem. Odbywało się u Ciebie w domu, który dla mnie już na zawsze pozostanie miejscem redakcji. Byłaś na bieżąco zorientowana w ważnych sprawach dotyczących pisma, które nam przekazywałaś. Potrzebna była też wymiana myśli na tematy ogólne.

**M.P.:** Organizowanie posiedzeń zespołu redakcyjnego u mnie w domu, w trakcie kolacyjek, było dla mnie wygodne i przyjemne. Chłopcy byli mali, nie mogłam ich zostawiać samych, mój mąż Andrzej dużo koncertował za granicą i często wyjeżdżał. A że spotkania odbywały się wieczorami, czyli w porze kolacji, przygotowywałam ją. Dzięki temu, że przychodziliście do mnie, miałam poczucie kontaktu ze światem pozadomowym.

**W.Sz.:** Wracając jeszcze do organizacji pracy w redakcji. Jeśli spojrzysz na nią już trochę z boku, powiedz, proszę, jak ona się zmieniła. Wiemy już, że samej pracy dla sekretarza redakcji przybywało, ale też sposób jej wykonywania ulegał zmianie. Od czego to zależało? Czy można wymienić jakieś kamienie milowe, które wyznaczały istotne, rzecz można, jakościowe zmiany?

**M.P.:** Wymieniłabym dwa takie momenty. Pierwszy z nich to rozpoczęcie adjustracji tekstów przez panią Lidię Szpunar, około 1995 roku. Publikowane teksty zaczęły spełniać wszystkie kryteria edytorskie. Drugi punkt graniczny to wprowadzenie systemu edytorskiego firmy Bentus. Sprawia on, że cały proces pracy redakcyjnej jest udokumentowany i w dodatku do odtworzenia po naciśnięciu jednego klawisza. Jest to duże ułatwienie w stosunku do dawniejszych czasów, gdy trzeba było wszystko notować. Wprowadzenie tego systemu wynikało z postępującej indeksacji czasopism. Aby utrzymać się na rynku, musieliśmy zostać czasopismem punktowanym. Jednym z warunków było wprowadzenie redakcyjnego systemu elektronicznego. Dawniej wszystko trzeba było liczyć samodzielnie, aby opracować statystyki do sprawozdań wysyłanych do ministerstwa. Teraz wszystko samo się liczy, więc jest tu ułatwienie, proces redagowania jest skomputeryzowany, a dzięki temu usystematyzowany. Z drugiej strony wydaje mi się, że obecna sekretarz redakcji, Kasia Czapkiewicz, ma jeszcze więcej pracy w związku z coraz wyższymi wymogami indeksacyjnymi. Informatyzacja jest coraz szersza, co, moim zdaniem, sprawia, że pracy też jest więcej i jest ona inna.

Mój styl pracy mógł być bardziej kameralny. Znałam prawie wszystkich recenzentów, bo nie było ich wielu. Teraz nie sposób ich znać. Tak są liczni, że kontakt z nimi staje się



bardziej instytucjonalny. Zespół osób współpracujących z pismem „Psychoterapia” był mniejszy niż jest teraz.

Wydaje mi się, że w ciągu tych 20 lat pracy sekretarza redakcji stopniowo przejmowałam odpowiedzialność za wiele spraw. Stawałam się tą osobą — również w sensie technicznym — która po zgromadzeniu i sprawdzeniu wszystkich tekstów, a w nich nie tylko treści, ale dosłownie wszystkich kropek i przecinków, na końcu naciskała klawisz Enter, wysyłając plik z kwartalnikiem do drukarni. Na początku mojej pracy w redakcji działaliśmy bardziej zespołowo, wiele spraw omawialiśmy wspólnie, na przykład rozważając, czy przysłane teksty nadają się do druku. Z czasem zaczęto wymagać dwóch recenzji. Pojawił się problem ze znalezieniem kogoś, kto by zechciał się podjąć oceny artykułu. To ja się kontaktowałam z osobami, które wcześniej razem wytypowaliśmy. Dzwoniłam do nich i pytałam o zgodę. Ale profesjonaliści w świecie naukowym i psychotherapeutycznym mają coraz mniej czasu i nawet jeśli deklarowali, że napiszą recenzję, trzeba było im o niej przypominać, umawiać się na terminy, a potem już wyznaczać deadline’y. Mam wrażenie, że z biegiem czasu zmonopolizowałam pracę w redakcji, co sprowadzało się do tego, że coraz więcej robiłam sama. Przestaliśmy się spotykać całym zespołem. Mieliliśmy coraz bardziej z informatyzowany system i porozumiewaliśmy się mejlowo. Teraz, gdy uczestniczę w waszych spotkaniach redakcji, nawet online, widzę, jaka jest siła w zespole, we wspólnej rozmowie. Gdy każdy coś powie, powstaje nowa jakość.

**W.Sz.:** Można powiedzieć, że życie wymusiło taką zmianę: przybyło nam wszystkim obowiązków, również Tobie, bo wróciłaś do pracy, więc wybraliśmy łatwiejszy wariant kontaktów. Z drugiej strony przypominam sobie opinię Kazika Bierzyńskiego — ówczesnego redaktora naczelnego — na Twój temat. Twierdził on, że jesteś bardzo samodzielna, wręcz samowystarczalna. Teraz myślę, czy ta samodzielność nie została Ci narzucona. Zespół redakcji pozostawił Cię samą z całym nawałem spraw.

**M.P.:** Nie, nie uważam tak. Myślę raczej, że to ja nie potrafię dzielić odpowiedzialności i nie mam umiejętności pracy zespołowej. Łatwiej jest mi przejąć obowiązki czy może nawet zrezygnować z dzielenia się nimi i samej je organizować. Nie zgadzam się też z twierdzeniem, że zostałam nadmiernie obciążona. Mnie taki styl pracy odpowiadał. Przecież ilekroć potrzebowałam konsultacji merytorycznej, mogłam kogoś z was o nią poprosić. Gdy na przykład miałam wątpliwości, czy ingerencja pani Szpunar w tekst nie zmienia myśli autora, zawsze mogłam zadzwonić do autora albo do kogoś z was i poprosić o pomoc. A zatem nie czułam się ani zostawiona, ani nadmiernie obciążona. Mam umiejętność podejmowania decyzji i brania odpowiedzialności za ich skutki. W rodzinie wraz z dorastaniem naszych synów wciąż uczę się dzielenia obowiązków, czego nie mam w naturze. Pracuję nad tym.

**W.Sz.:** Dla redakcji taki pracownik jak Ty — samodzielny, odpowiedzialny, wnikliwy i czujny — to skarb. W dodatku akceptowałaś zakres swoich obowiązków obejmujący, najogólniej mówiąc, czuwanie nad jakością pisma zarówno od strony formalnej, jak i merytorycznej. Jakże jeszcze były te nowe obowiązki, które pojawiały się wraz ze zmianami? Czy może było coś szczególnie trudnego? Pamiętasz jakieś sytuacje?

**M.P.:** Nie, raczej nie było jakichś bardzo trudnych spraw. Na początku razem ustalaliśmy ewentualnych recenzentów, odpowiednich do tematu. Z czasem się już tego nauczyłam. Teraz widzę, że wtedy współpracowałam z dużo węższym gronem recenzentów niż

dzisiejsze. Pewnie dlatego, że obecna, liczniejsza redakcja, zna więcej psychoterapeutów, wie, czym się zajmują, i może kierować do nich teksty zbieżne z ich zainteresowaniami. A do moich obowiązków — w czasach, kiedy jeszcze nie było systemu, tylko nim byłam ja — należało monitorowanie pracy recenzentów, następnie korespondencja z autorami. Wysyłałam im otrzymane recenzje, oni zaś mieli się do nich odnieść i przysłać poprawioną wersję. Z kolei gdy już nastąpiły streszczenia po angielsku, na początku wszystkie tłumaczył Bartosz Puk.

**W.Sz.:** Czyli były też bliższe, bardziej bezpośrednie relacje wśród tych osób. Podobnie jak w samej redakcji. Gdy skończyłaś pracę sekretarza, powiększył się skład redakcji. To odejście odbyło się, jak pamiętam, w sytuacji dużego napięcia, nawet powiedziałabym kryzysu. Dzięki wewnętrznej lojalności zespołu redakcyjnego oraz klasie okazanej przez osoby bezpośrednio zaangażowane kryzys pozostał zażegnany. Nie chcieliśmy się zgodzić na Twoje odejście i nowy redaktor naczelny, Mariusz Furgał, zaproponował, żebyś została jako adiustatorka. Propozycję przyjęłaś.

**M.P.:** Tak rzeczywiście było, ale nie chcę już do tego trudnego czasu wracać i go rozpamiętywać. Zwłaszcza że nie był to kryzys wewnętrzny, lecz spowodowany ingerencją z zewnątrz.

**W.Sz.:** Rozumiem. Wracam do tego, żeby zaznaczyć pozytywną siłę zespołu redakcyjnego i dobre relacje w nim, gdyż one w dużym stopniu wpływają na jakość pisma. Poza tym wiadomo, że każdy kryzys nas czegoś uczy, a w tym wypadku pokazał, jak postępować, żeby uniknąć ryzyka utraty tak cennego pracownika. Na szczęście do tego nie doszło.

**M.P.:** Wszyscy w redakcji zachowali się bardzo lojalnie w stosunku do mnie. Nowy redaktor naczelny miał prawo do wszelkich zmian, a tymczasem zostawił stary zespół, poszerzając go o trzy osoby. Pojawiła się funkcja redaktora prowadzącego, czyli osoby odpowiedzialnej za artykuł, a to jest ważne. Dawniej większość robiłam ja z Kaziem, i był to dla nas trud. A teraz odpowiedzialność rozkłada się na wszystkich. Uważam, że lepsza jest taka organizacja, gdy każdy ma przydzielony jeden, dwa artykuły i może się na nich skupić.

**W.Sz.:** Jak się czujesz w nowej roli adiustatorki? Jakie przynosi ona nowe wyzwania, jakie niesie problemy?

**M.P.:** To jest dla mnie zajęcie zaszczytne. Nie jestem z wykształcenia językoznawcą. Czytałam oczywiście i nadal czytam wiele tekstów z psychologii, psychiatrii i psychoterapii. Ucieszyłam się, że mnie doceniono i przyjęłam propozycję adiustowania tekstów, i z przyjemnością tę pracę wykonuję. Moją piętą achillesową są przecinki, więc nie daję za nie gwarancji albo raczej daję gwarancję, że nie wszystkie przecinki w „Psychoterapii” są tam, gdzie powinny być. Co do wątpliwości językowych, których nie mogę rozwiązać, szukając w internecie czy w poradni językowej PWN, to radzę sobie z nimi tak, że proszę o pomoc przyjaciółkę, Martę Szafrzańską-Brandt, która jest profesjonalną redaktorką i tłumaczką, wyróżnioną przez jury Nagrody im. Ryszarda Kapuścińskiego za Reportaż Literacki „za ambitny, dociekliwy, często językowo kreatywny przekład książki *Glód* Martina Caparrósa”.

To, co mną kieruje, to chęć wygładzenia języka autora, gdyż umiejętności językowe nie wiążą się ani z tytułami naukowymi, ani z wiedzą profesjonalną czy umiejętnościami z dziedziny psychoterapii. Nie wszyscy mają umiejętność poprowadzenia jasnego wywodu. Najczęściej się spotykam z przekonaniem autora, skądinąd zrozumiałym, że czytelnik



wie tyle samo co on. Ja z kolei wiem, że jednym z zadań „Psychoterapii” jest kształcenie młodych ludzi. Zatem myśl autora powinien zrozumieć początkujący adept psychoterapii. Celem mojej pracy jest takie opracowanie tekstu, aby każdy zrozumiał, „co autor miał na myśli”. Drugim celem, który mi przyświeca, jest uszanowanie myśli autora. Dlatego piszący dostają przed drukiem tekst do autoryzacji: mają wtedy możliwość nie zgodzić się na moje ingerencje. To jest też dla mnie zabezpieczenie, bo moje zmiany mogą wynikać z niewiedzy.

**W.Sz.:** Ale generalnie praca z tekstem nie sprawia Ci większych trudności, a daje radość.

**M.P.:** Tak, bo nie tylko lubię ją, ale jeszcze nie jestem z tekstem sama; współpracuję z autorem. Zdarza się czasem taki artykuł jak ten, nad którym teraz pracuję, że mimo kilkukrotnego przeczytania niektórych fragmentów, nie potrafię złapać myśli autora. Mam jednak możliwość napisania w komentarzu, że proszę o takie przeformułowanie, aby czytelnik zrozumiał tekst (a najpierw, abym zrozumiała go ja). I tak się dzieje. Nie zdarzyło mi się, by autor odmówił współpracy lub upierał się przy swoich sformułowaniach, jeśli ich zmiana nie naruszała meritum wyводу.

**W.Sz.:** Pamiętam, jak dostawałam od Ciebie swoje rozmowy do „Sylwetek” po bardzo licznych poprawkach pani Szpunar i Twoich i nie zawsze się ze wszystkimi zgadzałam. To oczywiście są szczególne teksty, które mają uchwycić sylwetkę osoby, jej personalny styl wypowiedzi, zatrzymać żywość języka w rozmowie. Z czasem trochę bardziej się starałam, ale i tak było sporo do poprawienia. Ciekawa jestem, jak dużo jest tych poprawek w innych artykułach.

**M.P.:** W rozmowach do cyklu „Sylwetek” zawsze jest więcej poprawek, gdyż trzeba znaleźć równowagę pomiędzy językiem mówionym a pisany. Między innymi zmniejszyć liczbę słów. Mam swoich ulubionych autorów, których nie trzeba poprawiać. Należy do nich na przykład Małgosia Wolska. Ale bywają sytuacje przeciwne i takie teksty, w których trzeba zmienić wiele. Największym wyzwaniem dla mnie była praca habilitacyjna (kiedy takie jeszcze były), przy której płakałam, nie mogąc jej zrozumieć, choć była z psychologii. Jej adiustacja okazała się wyjątkowo trudnym zadaniem ze względu na ogromną odpowiedzialność. Oczywiście tekst z moimi ingerencjami czytany był potem przez autora i recenzenta. Byłam dumna, że przebrnęłam, habilitacja została obroniona, a w recenzji nie było uwag dotyczących polszczyzny.

**W.Sz.:** Wracając do „Psychoterapii”: teraz jesteś ogniwem pomiędzy zespołem redakcyjnym a wydawniczym.

**M.P.:** Jestem zatrudniona na umowę-zlecenie, co mi bardzo odpowiada. Jako sekretarz redakcji ponosiłam dużą odpowiedzialność za zorganizowanie wszystkich prac związanych z przygotowaniem numeru kwartalnika w jego ostatecznym kształcie. Teraz mam ten luksus, że jestem odpowiedzialna tylko za językowe opracowania tekstów. Pozostałe prace mnie nie dotyczą.

**W.Sz.:** A jednak jest to i tak duża odpowiedzialność, bo język przecież się zmienia. Myślę tu o języku potocznym, ale z pewnością język psychoterapii też podlega zmianom. Możemy zaobserwować, jak zmienił się żargon używany w psychologii czy psychoterapii. Za tym pójdzie też język pisany, co może już dostrzegasz. Wspomniałaś, że chciałaś mieć pracę, która kończy się o określonej godzinie, by potem móc żyć innym, własnym życiem. Chciałabym Cię na koniec zapytać o to inne życie. Takie bardziej prywatne, i to

zarówno codzienne, jak i bardziej odświeżające, w którym mogłaś realizować swoje zainteresowania, pasje.

**M.P.:** Moje drugie życie poza katedrą, a może nawet pierwsze, przed nią, to dom, rodzina. Teraz, gdy chłopcy są dorośli, mam trochę więcej czasu. Przedtem praca na pełnym etacie i sprawy domowe wypełniały mi cały dzień. Bardzo lubiłam kino, ale trudno mi było wygospodarować czas, żeby wyjść z domu; zawsze pojawiała się coś ważniejszego, co mnie w nim zatrzymywało. Wymyśliłam dla siebie i koleżanek Kobięcy Klub Kinowy. W organizacji klubu wzorowałam się na moim ówczesnym szefie, profesorze Jacku Bombie, który był człowiekiem bardzo zajęтым. Zarządzając jego kalendarzem, uświadomiłam sobie, że jedynym sposobem, żeby w wypełnionym życiu znaleźć miejsce na jakieś niekonieczne zajęcie, jest ustalenie stałego jego terminu. Jako założycielka i samozwańcza prezeska klubu zarządziłam, że w każdy drugi piątek miesiąca będziemy się spotykać w domach kolejnych członkiń klubu. Do gospodyni należy wybór filmu oraz przygotowanie poczęstunku, który ma być prosty, na przykład grzanki lub sałatka. Po projekcji odbywa się dyskusja. Obejrzałyśmy w ten sposób ponad 120 filmów. Teraz w pandemii spotykamy się na zoomie, aby porozmawiać o wcześniej obejrzanych filmach. Bardzo lubię te spotkania.

**W.Sz.:** Korzystasz zapewne z platformy Netflix. Ciekawa jestem, jakie filmy najbardziej lubisz.

**M.P.:** Niedawno pomyślałam, że Netflix jest spełnieniem moich marzeń. Najbardziej mnie cieszy to, że dostęp do filmów mam w każdym momencie, przy śniadaniu, w tramwaju i w kolejce do lekarza. Najczęściej oglądam je w telefonie, a czasem pod kołdrą ze słuchawkami w uszach, co przypomina mi czasy dzieciństwa, gdy pod kołdrą czytałam książki przy latarce. Nie przeszkadza mi mały ekran, bo głównie oglądam dramaty psychologiczne. A co do ich wyboru to postępuję podobnie jak Bernard Pivot, którego audycje literackie oglądałam, pracując dawno temu jako opiekunka do dzieci we Francji. Omawiając książkę, mówił, że najpierw czyta tylko jej pierwszą stronę i wtedy decyduje, czy kontynuuje lekturę czy nie. Ja zaczynam od dostępnego w Netflixie omówienia filmu, od recenzji. Potem zaczynam oglądać i po 5–10 minutach decyduję, czy będę kontynuować „projekcję”.

**W.Sz.:** Czyli przyjemną odskocznią od codzienności jest dla Ciebie film. Czy podróże, których sporo odbyłaś, też należą do przyjemności?

**M.P.:** Trudno mi jednoznacznie odpowiedzieć. W latach 80. wyjeżdżałam dość dużo, przede wszystkim w celu nauki języka. Byłam kilka razy w Austrii, bezpośrednio po studiach spędziłam tam rok na stypendium. Z kolei we Francji trzy razy pracowałam w wakacje jako opiekunka do dzieci. Zawsze chciałam zobaczyć Stany. W 1987 roku na dworcu PKP w Krakowie zupełnie przypadkowo poznałam dwoje kanadyjskich Chińczyków, którym posłużyłam jako tłumaczka przy okienku informacji. Oni chcieli znaleźć hostel na dwudniowy pobyt, co w owych czasach nie było łatwe. Zaproponowałam, żeby zanoowali u mnie. Bardzo im się podobało w Krakowie, pobyt przedłużył się do tygodnia, podczas którego zrobiliśmy kilka wspólnych wycieczek. W rewanżu znaleźli mi w Kanadzie pracę przy dzieciach, pomogli pokonać liczne przeszkody w otrzymaniu wizy kanadyjskiej na roczny pobyt. Po skończeniu pracy, w wakacje, przejechałam sama w poprzek Amerykę autobusem Greyhound. W dzień zwiedzałam, noce spędzałam w drodze. Tak planowałam trasę, by od czasu do czasu zatrzymać się u znajomych.

Potem, już z Andrzejem i chłopcami, korzystając z hojności przyjaciół, którzy użyczyli nam swoich voucherów, dość dużo jeździliśmy do różnych atrakcyjnych turystycznie ośrodków w Europie. Te wakacyjne pobyty miały charakter wypoczynkowy związany również z poznawaniem świata.

**W.Sz.:** Wiem, że byłaś też w Japonii — jednym z bardziej egzotycznych dla nas krajów. Gdy leciałaś tam, zazdrościliśmy Ci tej podróży, mając w pamięci własne podróże życia, z których przywoziliśmy nie tylko wspomnienia, ale też doświadczenie odmiennej kultury. Skłaniało to do refleksji nad światem. Dla mnie takie znaczenie miał pobyt w Afryce.

**M.P.:** Tak, w Japonii Andrzej, mój mąż, był profesorem wizytującym w Kobe College of Music. Ten dwumiesięczny pobyt okazał się dla mnie bardzo trudny. Mieszkaliśmy w małym miasteczku, gdzie nie było żadnych zielonych, przyjaznych dzieciom miejsc. W czerwcu i lipcu temperatura dochodziła do 30 stopni przy 90-proc. wilgotności. Zajmowaliśmy stosunkowo małe mieszkanie, ze słabo działającą klimatyzacją. Najgorsze, że nie miałam dokąd pójść z Janem i Wojciechem, pięcio- i siedmioletnimi pełnymi energii chłopcami, przywykłymi do codziennych krakowskich spacerów. Jedynie do centrum handlowego, co też było wyzwaniem, bo po wąskich ulicach bez chodników auta jeździły w odwrotnym niż u nas kierunku. Trudno było upilnować chłopców, którzy nie chcieli być trzymani za rękę. Zresztą sama miałam czynną tylko jedną, bo w pierwszym tygodniu pobytu złamałam prawą, spadając z roweru. Byłam w Japonii, co pewnie jest marzeniem niejednej osoby. Ale trud radzenia sobie z wyzwaniami, wobec których stawałam jako jednoręka matka dwóch brykających synków, ograniczał mi możliwość zachwyty tym krajem. Andrzej wyjaśnił mi, że czymś zupełnie innym jest być turystą w Japonii, a innym być tam i pracować, próbować się zintegrować. Japończycy są bardzo zamknięci. Andrzej pracował w Japonii przez rok i nikt z kolegów z College’u nie zaprosił go do domu, co wtedy, osiemnaście lat temu, po naszych doświadczeniach nieustannego goszczenia u nas w domu zawodowych znajomych Andrzeja z całego świata, wydawało nam się zupełnie niezrozumiałe. Poznałam się bliżej tylko z jedną osobą, moją równolatką, a to dlatego, że była stewardesą. Miała doświadczenie kontaktu z inną kulturą i umiejętność nawiązywania kontaktu z ludźmi. Jej syn był w wieku moich chłopców i czasami chodziliśmy razem na boisko szkolne, gdzie w żółtym pyle dzieci grały w piłkę.

W Japonii byłam potem jeszcze raz jako turystka i to trochę zneutralizowało wspomnienie pierwszego pobytu. Spędziłam tydzień w Tokio u mojej przyjaciółki Keiko, którą poznałam w 1980 roku na kursie językowym w Wiedniu. Odwiedziła mnie wtedy w Krakowie, potem wróciła do Japonii i trochę ze sobą korespondowałyśmy. Lecąc pierwszy raz do Japonii, wzięłam ze sobą jej ostatni list sprzed kilkunastu lat i gdy byłam na miejscu, poprosiłam znajomą Japonkę, żeby zadzwoniła na informację, podała dane adresowe Keiko sprzed dwudziestu dwóch lat i dowiedziała się o jej aktualny numer telefonu, a potem zadzwoniła pod ten numer. Okazało się, że pod tym adresem wciąż mieszkała mama mojej przyjaciółki. To było piękne doświadczenie: po dwudziestu dwóch latach niewidzenia się, kilkunastu latach braku kontaktu, Keiko przyjechała do mnie do Osaki, pomóc mi, kiedy złamałam rękę, a potem zaprosiła nas do Tokio, gdzie byłam z chłopcami w Disneylandzie. Czyli nie wszyscy Japończycy są hermetyczni.

**W.Sz.:** Czyli, kończąc wątek wyjazdów: akurat ten do Japonii nie był dla Ciebie podróżą życia.

**M.P.:** Odbyliśmy z Andrzejem podróż naszego życia, a mianowicie do Australii i Nowej Zelandii. Ten wyjazd miał dla mnie znaczenie nie tyle z powodu piękna i egzotyki miejsc, ile dlatego, że leciałam do przyjaciół, do Agnieszki i Przemka Dawidowskich. Najbardziej cieszyło mnie to, że spotkam się z bliskimi ludźmi. Podróże mają dla mnie znaczenie, jeśli dają mi możliwość spotkania zaprzyjaźnionych osób. Prawdziwą wartość stanowi dla mnie spotkanie przyjaciół.

**W.Sz.:** Chciałabym na chwilę wrócić do pracy zawodowej, bardzo splecionej w twoim przypadku z życiem osobistym. Co uważasz za największy swój sukces zawodowy?

**M.P.:** Moim sukcesem zawodowym było zaproszenie mnie przez Wydawnictwo Literackie do zespołu redakcyjnego pracującego nad wydaniem biografii Antoniego Kępińskiego opracowanej przez Annę Mateję. Fascynująca praca — czytanie, zdanie po zdaniu, tekstu, sprawdzanie każdego zawartego w nim faktu, opisu, zdarzenia. Via internet, oczywiście. Zachęcam czytelników „Psychoterapii” do lektury tej znakomicie napisanej książki przybliżającej postać Profesora jako syna, brata, kolegi, męża, psychiatry, przełożonego, a na koniec jako pacjenta na łożu śmierci, piszącego swoje ciągle aktualne książki.

**W.Sz.:** Zawsze, gdy rozmawiam z osobami, których sylwetki przedstawiamy w „Psychoterapii”, pytam, kto był dla nich wzorcem, swoistym autorytetem, w kontakcie z którym najwięcej w życiu skorzystali. Kto był dla Ciebie kimś takim?

**M.P.:** Nie wymienię tu jednej osoby. Najwięcej zawdzięczam genius loci Katedry Psychiatrii. Panująca w niej atmosfera była sumą postaw, osobowości wszystkich osób, z którymi pracowałam. Każdego dnia przez trzydzieści dziewięć lat pracy doświadczałam od moich koleżanek i kolegów w katedrze przyjaźni, życzliwości i wsparcia. Dzięki temu, że szefowie akceptowali mój styl prowadzenia sekretariatu, mogłam rozwijać to, co dla mnie było najważniejsze, czyli relacje. Sekretariat był miejscem spotkań. Miałam to szczęście, że moi przełożeni — począwszy od profesora Adama Szymusika, poprzez profesorów Jacka Bombę, Krzysztofa Gierowskiego i Zbyszka de Barbaro, pozwalali mi być sobą. Nie narzucali mi swojego wyobrażenia na temat własnej sekretarki. Byli bardzo różni, każdy z nich był inny w relacjach, a jednak pozwolili mi tak pracować i tak się układać z ludźmi, jak chciałam. Oczywiście zawsze starałam się być „twarzą szefa”, byłam lojalna w stosunku do swoich przełożonych. Różniliśmy się, ale tworzyliśmy dobre, zgrane zespoły. Podobnie było w redakcji „Psychoterapii”: w relacji z redaktorem naczelnym Kazikiem Bierzyńskim każde z nas pozostało sobą, a tworzyliśmy zgrany team.

**W.Sz.:** To jeszcze na zakończenie zapytam Cię o Twoje plany, może marzenia u progu emerytury.

**M.P.:** Chciałabym móc nadal pracować z tekstami, przygotowywać je do druku. W życiu prywatnym mam już teraz trochę więcej czasu, co daje mi możliwość doświadczenia, oglądania i przeżywania najpiękniejszego miasta na świecie, czyli Krakowa. Marzeniem moim jest zwiedzanie Polski samochodem w porze, gdy jest zielono i koniecznie w akompaniamencie piosenek Maryli Rodowicz! Kiedy wracaliśmy z chłopcami z Japonii i samolot kołował nad Krakowem 5-letni Wojtek powiedział, patrząc za okno: „Czyż nie jest prawdą, mammo, że nasza ojczyzna jest najpiękniejszym krajem na świecie”. Otóż jest to prawdą. Chciałabym pojeździć po swoim kraju i odwiedzić okolice, których nie znam, choćby Dolny Śląsk albo Podlasie. Jednym z najwspanialszych prezentów, jaki dostałam w życiu

był pendrive od Izy Janeczek-Siejka, sekretarki Zakładu Terapii Rodzin, z „dziełami wszystkimi” Maryli Rodowicz. Więc jestem przygotowana do realizowania swojego marzenia.

**W.Sz.:** W takim razie życzę Ci, aby to marzenie się spełniło i bardzo dziękuję za rozmowę. A „Psychoterapii”, która jest okrągłą jubilatką, życzę, abyś jak najdłużej pracowała z tekstami, które do niej trafiają.

